

U króla Olch



HANS CHRISTIAN ANDERSEN

U króla Olch

TŁUM. CECYLIA NIEWIADOMSKA

Wielkie jaszczurki szybko przebiegały tam i na powrót po korze starego, popękane drzewa, a kiedy się spotkały, rozmawiały z sobą po jaszczurczemu, ażeby się mogły zrozumieć.

— Co się tam dzieje w pagórku olszowym? — mówiła jedna. — Co to za stuk i hałas? Już dwie noce z tego powodu nie zmrzyłam oka, jakby mię zęby bolały (bo wtedy także nigdy spać nie mogę).

— Coś się tam dziwnego dzieje — rzekła druga. — Co noc otwierają wzgórze i póki kogut nie zapieje, wietrzą wszystko i odnawiają. Ściany domu opierają na czterech czerwonych palikach, aby przewiew był lepszy, a ich dziewczęta uczą się nowego tańca. Coś tam będzie niezwykłego.

— Już o tym rozmawiałam — dorzuciła trzecia — ze znajomym robakiem ziemnym, czyli glistą, którą nazywają dżdżownicą. Właśnie powracał stamtąd. Dzień i noc pracuje on w pagórku olszowym, wznosząc ziemię; słyszał też niemało. Wprawdzie biedne stworzenie nie ma wcale oczu, więc nic nie widzi, ale słuchać umie i macać także. Król Olch spodziewa się znakomitych gości, gości z dalekich krajów, tylko nie wiadomo kiedy. Glista nie umiała mi tego powiedzieć, a może i nie chciała. Wszystkie błędne ogniki zostały wezwane na pochód uroczysty ze światłami: wszystko złoto i srebro, którego niemało znajduje się w pagórku, czyszcza i wystawiają na światło księżycy.

— Co to mogą być za goście? — pytały ciekawie jaszczurki. — Co to wszystko ma znaczyć? Słyszycie, jak znów huczy? Słyszycie, jak brzęczy?

W tej samej chwili pagórek olszowy otworzył się i z wnętrza pustego wybiegła niemłoda już Olszanka. Mknęła jak mgła leciuchna, ścigana wietrzykiem, na czole miała serce bursztynowe na znak godności swej i pokrewieństwa z rodziną króla Olch, w którego domu zastępowała miejsce gospodyni. Ach, jak prędko biegła, a prosto nad morze, pewno do Kruka-Ducha z przestrelonym skrzydłem.

Rozumie się. Natychmiast sam zjawił się przed nią, a Olszanka mówić zaczęła:

— Zapraszam cię do króla Olch na noc dzisiejszą, do pagórka olszowego. Ale czybyś nie zechciał oddać nam wielkiej przysługi i poroznosić dalej zaproszenia? Nie masz teraz nic do roboty, a u nas tyle zajęć. Będą goście znakomici, starzy przyjaciele, czarodzieje. Nic dziwnego, że król wystąpić pragnie.

— Kogóż mam zaprosić? — pytał Kruk-Duch ze skrzydłem przestrelonym.

— Na wielki bal prosimy wszystkich, nawet ludzi, jeżeli mówią przez sen albo posiadają jaki talent, który zbliża ich do nas choć trochę, lecz na pierwsze przyjęcie wybór ma być bardzo trudny: same znakomitości. Poróżniłam się nawet z królem, gdyż nie chciałam, aby zapraszał upiory. Przede wszystkim naturalnie chodzi o Wodnika z córką. Może nie mają ochoty wyjść na ląd, ale przygotujemy dla nich mokry kamień, a może coś lepszego jeszcze do siedzenia, więc sądzę, że nie powinni nam odmówić. Pragniemy też zgromadzić wszystkie poważniejsze licha z ogonami, chochliki, koboldy, chciałabym nie pominąć kościelnego karła ani upiora-konia, ani upiora-świni¹. Mają oni wprawdzie urzędy od ludzi i stąd stosunki z nimi, ale w gruncie rzeczy daleko więcej z nami są zbliżeni.

¹kościelnego karła ani upiora-konia, ani upiora-świni — W Danii istnieje przesąd, że w miejscu, na którym mają zbudować kościół, zakopują żywego konia albo żywą świnie, a upiory tych zwierząt błędzą następnie po świecie. [przypis redakcyjny]

— Krrr! — krzyknął Kruk-Duch i poleciał roznosić zaproszenia.

Na pagórku tańczyły już córki królewskie prześliczny taniec z szalem utkany z promieni księżycy i mgły najlżejszej. Było to czarodziejskie widowisko. Pagórek stał otwarty i widać było wewnątrz olbrzymią grotę, przybraną wspaniale. Podłogę usiano księżycowym blaskiem, a ściany, wyczyszczone sadłem czarownicy, błyszczały niby lampy z żywych kwiatów.

Z kuchni rozchodziły się miłe zapachy: pieczono tutaj młode żabki na patyczkach, przyprawiano sałatę ze ślimaków, szalonego ziela, siemienia grzybowego i wilgotnych nosków mysich; piwo przyniesiono z błotnego browaru, a nakrycie stanowiły zardzewiałe gwoździe i kawałki szkła tłuczonego.

Korona króla, świeżo wyczyszczona, świeciła jaśniej niż rondel miedziany, w sypialni rozwieszono firanki z najcieńszej przędzy pajęczej pozlepianej sztucznie śliną węzową. Wszystko było piękne, nowe, gustowne, ale kosztowało wiele pracy, i nic dziwnego, że hałas podziemny przeszkadzał spać jaszczurkom.

— Ojczulku — zawołała królowa — kiedyż się dowiem, kto są goście znakomici, których się spodziewamy? I po co przyjadą?

— Muszę wam to powiedzieć — odparł król poważnie — czas na to. Dwie z was pragnę wydać za mąż, odbędą się więc zaręczyny. Przyjedzie mój przyjaciel z lat młodości, stary kobold z Norwegii, gdzie w górach Dovre posiada wspaniałe zamki i kopalnie złota, które ukryły się dotąd przed ludźmi. Przyjedzie teraz do mnie z dwoma starszymi synami, których pragnie ożenić. Bardzo to rozumny kobold, a zacny i wesoły, że się z nim rozstać nie chce. Znamy się dobrze od lat bardzo wielu; przyjeżdżał tu już niegdyś po żonę dla siebie, lecz mu umarła. Była córką króla pobliskich skał kredowych, mówiono też o nim, że wziął sobie żonę z kredy. Niezmiernie się cieszę, że go zobaczę znowu! Tęskno mi już za nim, za starym przyjacielem. Mówią o chłopcach jego, że źle wychowani, krnąbrni i wścibscy, ale może to nieprawda, a choćby i tak było, to się poprawią z czasem.

— Kiedyż przyjadą? — pytała królowa.

— To zależy od wiatru i pogody. Bardzo to oszczędny i mądry staruszek, toteż podróżuje przy sposobności, ze statkami. Radziłem mu, żeby przyjechał przez Szwecję, ale nie chce — uparty jest i uprzedzony bardzo do sąsiadów.

Wtem dwa ogniki błędne wbiegły jeden za drugim, gdyż jeden wyprzedzał drugiego.

— Jadą już, jadą! — krzyczały obydwa.

— Podaj mi koronę i usuń się z drogi, abym stanął w blasku księżycy — rzekł śpiesznie król Olch do córki.

Stary kobold wjeżdżał właśnie na pagórek, córki królewskie witały go tańcem i zwrzucając nań szal księżycowy, kłaniały się do samej ziemi.

Kobold z Dovre zamiast czerwonej czapeczki miał koronę z lodu i lakierowanych sosnowych szyszek; zresztą był ubrany ciepło i wspaniale, ciężkie niedźwiedzie spływały mu z ramion, futrzane buty do kolan sięgały. Za to synowie byli bez kaftanów, koszule mieli rozpięte u szyi, a szelek nie używali zupełnie; oznaczało to wszystko, że są zdrowi i wytrwali.

— Czy to ma być wyżyna? — spytał młodszy, palcem wskazując olszowy pagórek. — U nas, w Norwegii takie kretowisko nazywamy po prostu dziurą.

— Chłopcy, chłopcy! — strofował² ojciec. — Dziura przecież jest wklęsła, a każda wypukłość nazywa się wyżyna. Czyż oczu nie macie?

Ale synowie nie byli skruszeni — jedno tylko podobało im się tutaj, że z każdym rozumieli się od razu i rozmawiać mogli swobodnie.

— Dlatego też lepiej nie gadajcie wiele — przezornie napominał stary ojciec — po co wszyscy mają wiedzieć, żeście głupi?

W tej właśnie chwili weszli do groty królewskiej, gdzie całe towarzystwo już było zebrane, a zgromadziło się z taką szybkością, jak gdyby wiatr je przyniósł na swych bystrych skrzydłach.

Lecz wszystko dla każdego było już przygotowane i nikt na brak wygody uskarżać się nie mógł. Wodnika z córką umieszczono w wielkich kubłach pełnych wody, ustawionych

²strofować — upominać, przywoływać do porządku. [przypis edytorski]

dla nich przy stole zamiast krzesel, i twierdzili oboje z wielkim zadowoleniem, że czują się jak w domu.

Wszyscy zresztą siedzieli bardzo przyzwoicie, jak przystoi poważnym i dostojnym gościom, i jedli podług najlepszych przepisów; tylko norwescy obaj królewicze kładli nogi na stole i śmiali się głośno, myśląc, że im wszystko wolno.

— Nogi pod stół! — krzyknął ojciec groźnym głosem i posłuchali, ale nie od razu.

Kłuli swoje sąsiadki ostrymi szyszkami, których mieli pełne kieszenie, a potem zdjęli buty dla wygody i kazali piastować³ je córkom królewskim lub innym pannom, które obok nich siedziały.

Wszyscy patrzyli na nich z oburzeniem.

Ojciec tymczasem, stary kobold z Dovre, w koronie z lodu i szyszek sosnowych, dowcipny i wesoły, opowiadał o swej ojczyźnie, a wszyscy go słuchali z niezmiernym zajęciem. Bo też i umiał mówić, zwłaszcza o tym, co kochał. To opisywał dumne, nagie skały krain północnych wznoszące ku niebu lodem okryte czoła, to jasne kaskady wód spadających z łoskotem w przepaście i pryskających w słońce śnieżną pianą; to o lososiach mówił w łusce złotej, za głosem harf cudownych płynących pod wodę; to o zimowej nocy bez świtu poranka, białej jak śnieżne puchy i cichej, i długiej, gdy dzwonki sanek dźwięczą gdzieś w oddali, a ludzie biegają na łyżwach po lodzie, przezroczystym jak woda, tak że pod spodem widać rybki drobne, lękające się światła ruchomych i cieni.

O, stary kobold umiał opowiadać! Zdało się, że widzisz to, o czym on mówi. Ot i zabawa wiejska na tartaku, tańczą dziewczęta, parobcy śpiewają, słychać turkot, tupanie, krzyki: hu! ha! Porwał swoją sąsiadkę, poważną Olszankę i jak chłopak wiejski pocałował głośno.

Hu, ha! Wszyscy z miejsc wstali, rozpoczął się taniec. Córki królewskie tańczyły najpierwsze. Bo i któż im dorówna? Taniec był lekki, prosty, niby kołysanie na falach wiatru, a nikt z zaproszonych nie mógł się dość napatrzeć na to czarodziejstwo.

Potem nastąpiły tańce sztuczne i solowe, różne popisy. Do kroćset! Stary karzeł pojąć nie mógł, co się robi z ich rękami i nogami. Wszystko rozstrzela się na wszystkie strony, zgina, prostuje, krąży, leci, spada, tylko w oczach migoce. A teraz kręcą się w kółko tak szybko, że koń-upiór i upiór-świnia patrzeć nie mogli na to, wstali od stołu, gdyż dostali mdłości.

— Prrr! — zawołał kobold — dosyć tego! Rękami i nogami wywijać umiecie, tego wam nikt nie ujmie, ale chciałbym wiedzieć, na coście więcej zdadne?

— Zaraz to zobaczysz — odrzekł król Olch poważnie i skinął na najmłodszą z córek.

Była ona przejrzysta jak promień księżycy, ze wszystkich siostr najłżejsza, najdelikatniejsza: kiedy szła, wcale ziemi nie dotykała stopą, a kiedy wzięła w usta biały wiórek, zniknęła z oczu. To była jej sztuka.

Ale nie podobała się staremu. Twierdził stanowczo, że nie chciałby takiej żony, a zapewne i żaden z jego synów.

Druga córka umiała chodzić bokiem, leżąc jak cień ludzki, którego Olszanki nie mają.

Trzecia miała inny talent: u wodnicy z błota uczyła się gospodarstwa i umiała przyrządzać sęki olszowe, nadziewane i szpilowane robaczkami świętojańskimi.

— Z tej będzie mąż miał w domu dobrą gospodynię — rzekł stary kobold, potrząsając głową na znak, że pić więcej nie chce.

Po niej wystąpiła czwarta. Ta miała wielką harfę: gdy dotknęła pierwszej struny, wszyscy w gromie podnieśli naraz lewą nogę, gdyż koboldy w ogóle są mańkutami; a skoro uderzyła w drugą strunę, wszyscy musieli robić, co jej się podobało.

— To niebezpieczna żona — zauważył stary, a obaj królewicze z wielkim krzykiem wybiegli na pagórek, bo sztuk już mieli dosyć i znudziło im się w sali.

— A piąta? — spytał znowu kobold z Dovre.

— Ja nauczyłam się kochać Norwegię — rzekła śmiało Olszanka — i nie wyjdę za mąż inaczej, tylko do Norwegii.

— Hm, hm! — rzekł stary król w koronie z lodu.

Ale najmłodsza siostra szepnęła mu zaraz:

³piastować — opiekować się (jak małym dzieckiem: nosząc na rękach itp.). [przypis edytorski]

— To dlatego, że dowiedziała się ze starej pieśni norweskiej, iż kiedy świat się skończy, skały norweskie jedne pozostaną na pamiątkę tego, co było. Więc i ona chce się udać do Norwegii, bo się okropnie boi końca świata.

— Ho, ho! — rzekł teraz głośno stary kobold i zapytał zaraz o siódmą.

— Pierwej⁴ szósta — poprawił go król Olch poważnie, ponieważ umiał liczyć.

Ale szósta nie chciała wcale wyjść do gości.

— Mam dość roboty, żeby mówić ludziom prawdę — powiedziała niechętnie. — Nikt się nie troszczy o mnie, wolę siedzieć tu w kącie i szyć sobie szatę śmiertelną.

Wystąpiła więc siódma i ostatnia. Ta umiała opowiadać. Ile chciała!

— Oto moje pięć palców — rzekł stary kobold z Dovre — opowiedz mi o każdym z nich coś ciekawego.

A Olszanka ujęła wesoło dłoń króla w koronie z lodu i szyszek sosnowych i zaczęła opowiadać mu o każdym palcu. Kobold śmiał się i kiwał głową, a kiedy wreszcie doszła do czwartego w złotej obrączce, jakby czekał tylko na zaręczyny, starzec rzekł wesoło:

— Trzymaj go mocno, bo twój jest. Ciebie chcę wziąć za żonę!

— Jeszcze dwóch bajek nie dopowiedziałam — broniła się Olszanka.

— Dosluchamy ich w zimie — odparł kobold. — Musisz nam opowiedzieć jeszcze bardzo wiele; o zielonej sośnie i o brzozie białej, o duchach i o mrozie trzaskającym! Ho, ho, będziesz musiała opowiadać, bo znasz się na tej sztuce, jak niewielu! Zasiądziemy sobie dokoła ogniska w kamiennym zamku moim, wióry sosnowe płoną i strzelają, a my słuchamy i miód popijamy ze złoczonego rogu starych norweskich królów. Czasem odwiedza nas rusalka wodna i śpiewa nam pieśni pastusze górali. Wesoło wtedy. Łosoś rzuca się w potoku, uderza z siłą o kamienne ściany i jasno, cicho, biało. Tak, pięknie tam bardzo w mojej starej Norwegii. — Ale gdzie chłopaki?

Ach, gdzie chłopaki?

Bez szelek i kaftanów, w rozpiętych koszulach, jak przystoi na młode i zdrowe koboldy, biegali obaj po szerokim polu, goniąc ogniki błędne, ażeby je zdmuchnąć. Biedne ogniki, które z taką chęcią przybyły na wezwanie króla Olch i chciały uświetnić jego ucztę swymi światełkami.

— Cóż to znów za bieganie! — strofował ich ojciec. — Nie wiecie nawet, że wam matkę wzięłem. Możecie i wy także wybrać po jednej z ciotek.

Ale młodzi oświadczyli, że wolą się gonić, bić, klócić, pić zdrowie, ale do małżeństwa żadnej nie czują chęci.

Więc krzyczeli, gadali i wznosili zdrowie, aż się zmęczyli w końcu. Wtedy, zdjawszy ubrania, położyli się na stole i zasnęli. Nic ich nie obchodziło, co myślą o tym inni.

Stary kobold w koronie z lodu tańczył z młodą narzeczoną dokoła grotty, a potem zamienili z sobą obuwie, co jest daleko właściwiej niż zamienić obrączki.

— Kogut pieje! — zawołała stara Olszanka, która czuwała nad bezpieczeństwem zgromadzonych.

— Zamykać okiennice, bo nas słońce spali! — rozległo się trwożne wołanie.

I w mgnieniu oka zamknął się pagórek.

Po starym drzewie znowu biegały jaszczurki prędko tam i na powrót i mówiły jedna do drugiej:

— Ach, jak mi się podobał stary gość norweski!

— Mnie lepiej⁵ podobał się chłopcy — rzekł robak ziemny.

Ale ten biedak nie ma oczu i nie widzi.

⁴pierwej — najpierw. [przypis edytorski]

⁵lepiej — dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/u-krola-olch>

Tekst opracowany na podstawie: Hans Christian Andersen, *Baśnie*, tłum. Cecylia Niewiadomska, wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa 1931

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak.

ISBN 978-83-288-0031-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).